

POLITYKA
WARSZAWA

wydanie

7 15. 11. 64
Nr..... z dn.



Fot. Edward HARTWIG

„...Shaw zostaje pożarty przez bestię, którą sam wypuścił na scenę...“

ANDROKLES I LEW jest jedną z najdziwniejszych sztuk Shawa. Jest też zarazem jak najbardziej wśród nich typowa. Stanowi skrajny przykład shawowskiej manieri literackiej, ilustrację jego bezkompromisowej apodyktyczności. Postawy radykalnego irlandzkiego kaznodziei, a jednocześnie złośliwca. Wiecznie młodego i zaangażowanego — do ostatnich dni stoletniego życia — ideologa, a jednocześnie, od pierwszych niemal sztuk, skostniałego w swoich poglądach na teatr staruszka, usiłującego narzucić bezwzględnie swoją wolę wszelkim inscenizatorom.

Wszystkie niemal dramaty Shawa zawierają niezliczone przedmowy i komentarze. Ich tekst obstawiony jest ogromnymi didaskaliami, wyjaśnieniami odautorskimi, w których zawarte są szczegółowe przepisy gry i interpretacji poszczególnych scen. W *Androklesie i Lewie* cechy te zostały rozdęte do rozmiarów jakiejś niesamowitej elephanthisis. Pisząc w roku 1913 swój dramat oparty na prześladowaniach pierwszych chrześcijan potraktował go Shaw przede wszystkim jako eskplikację kilkunasu też społeczno-moralnych. W miarę upływu lat, tak się w jego treści rozsmakowywał, że dodawał coraz to nowe przedmowy i wyjaśnienia, aż na koniec w wydaniach obecnych przekraczają one kilkakrotnie właściwy tekst sztuki. Powiedział o swoim dramacie właściwie wszystko, co można o nim powiedzieć. Odebrał chleb krytykom. Ale zarazem wypłatał największego figla sobie samemu. Bo przecież w teatrze z didaskaliów i komentarzy nie zostaje właściwie nic. Trochę materiału do prób analitycznych, jakaś ogólna sugestia dla reżysera, wyjaśniający niektóre problemy utworu artykuł w programie. I to wszystko. Ze sceny aktorzy mówią czysty tekst, który musi obronić się sam. Są ubrani inaczej niż tego życzył sobie autor, inaczej się poruszają, inaczej rozgrywają sytuacje. I oto Shaw właśnie wbrew swoim przepisom i komentarzom, grany jest wciąż na całym świecie. I wciąż, jak tego chciał, zaskakuje, bawi i szkokuje dzisiejszą widownię, mimo że z jego kazań do uszu wpadają już tylko niektóre fragmenty, a w akcji jego sztuk najbardziej bawi nas to, co on sam uważał za sprawy najmniej istotne.

W jednej z przedmów do *Androklesa i Lwa*, zacytowanej w programie przedstawienia w Teatrze Współczesnym Shaw pisał: „Przedstawiłem w tej sztuce jedno z prześladowań pierwszych chrześcijan przez Rzymian. Nie jako konflikt teorii prawdziwej z fałszy-

teatr

SHAW

I LEW

JAN KŁOSSOWICZ

wą, lecz jako to, czym są w istocie wszelkie prześladowania tego rodzaju. Mianowicie jako próbę zdławienia propagandy zagrażającej zdawałoby się interesom tych, którym służy prawo i porządek ustanowione w imię religii i sprawiedliwości przez polityków-oportunistów, którzy bronią własnych pozycji. Ci zaś boją się i nienawidzą ludzi, którym światło wewnętrzne ukazuje lepszy świat, oparty na duchowej potrzebie stworzenia bogatszego i szlachetniejszego życia — nie dla nich samych i kosztem innych, ale dla wszystkich“.

Shaw na szczęście nie przeprowadził dosłownie dowodu tej tezy, a wykpił w swojej sztuce po trosze nie tylko Rzymian, ale i chrześcijan. Dlatego też nie stworzył opisu rzezi niewinnych, a w istocie dość przewrotny i stąd zapewne tak dla niego samego prowokujący do komentowania dramat, w którym prześladowani predestynowani są niepomalu do zamiany ról z prześladowanymi. I w którym jest tylko jeden szlachetny — przyjaciel zwierząt i przez to przypadkowy zbawca chrześcijan — prostaczek Androkles. I w którym jest też, za co Shawowi dzisiaj największa pochwała — Lew.

Lew ma pyzată mordę i żółte cielsko, w którym siedzą dwóch chłopaków. Otwiera paszczękę pokazując różowy ozór i ryczy. Podskakuje i uderza się ogonem po bokach. Od razu dostaje brawa. Dobry, poczciwy Lew trochę z chiń-

skiego cyrku i trochę z Kiplinga, trochę z każdej dziecinnej bajki. Lew, któremu Androkles wyciąga w pierwszej scenie cierni z łapy, po to, żeby się z nim później spotkać na arenie Colosseum i odtńczyć przed zdumionymi Rzymianami twista, którego zresztą na pewno nie było w shawowskich didaskaliach. Na zakończenie przedstawienia on także dostaje najwięcej braw. Nic w tym dziwnego. Niektórzy wielcy gwiazdorzy Hollywoodu, kiedy dowiadują się, że w proponowanym im scenariuszu jest dajmy na to pies, odmawiają roli. I mają chyba rację. Zwierzak jest zawsze najlepszy. Zaprojektowany świetnie przez Starowieyską i roztańczony przez Grucę Lew nie zjada Androklesa, ale zjada wszystkich dookoła. Shaw zostaje pożarty przez wypuszczoną przez siebie na scenę bestię. Niegłupie i czasem prawdziwie niepostarzale kwestie i dialogi sztuki uciekają mimo uszu. Na scenie zostaje tylko lwisko, które w dodatku na cyrkową arenę wiozą w drewnianej klatce ciągniętej przez jeszcze bardziej śmieszne i jeszcze ładniej może narysowane woły, których pyski bardziej pozostają w pamięci niż błyskotliwe sformułowania i aktorskie gesty. Jest w tym wszystkim coś z atmosfery Byczka Fernando i Kubusia Puchatka. Atmosfery trochę denerwującej, od czasu, kiedy te śliczne książki dla dzieci stały się przedmiotem snobizmu starych pierników. Ale na szczęście nie za dużo. Bo jest w tym przedstawieniu autentycznie dobra pantomima i precyzyjna, jubilerska już prawie, jak zwykle u Axera, reżyseria.

A największe brawa należą się aktorom. Niezwykle wyrównanym w zespole, grającym nie tylko z tak trudnym, hasającym po scenie i ryczącym partnerem, ale grającym właściwie wyłącznie papierowe role. Bo Androkles jest w gruncie rzeczy postacią bardzo jednoznaczna i gest i postawa zahukanego biedaczyny przejawia się ciekawiej w postawie i mimice Fijewskiego niż w kwestiach przez niego wypowiedzianych. Lipińska (Lavinia), Zapasiewicz (Kapitan) czy Borowski (Setnik) ożywiać muszą tu kukielki, które służą za ilustrację shawowskich rozważań moralnych. Jedyne Dziewoński (Spintho) ma do odegrania nieco żywszą postać chrześcijanina — łobuza i złodziejzka. I wreszcie — Ferrovius — Czechowicz. Największa rola w sztuce. Jedyne prawdziwy partner Lwa. Lew w skórze baranka. Chrześcijański atleta, który nawraca przy pomocy pięści i z trudem zmusza się do pokory, aby wreszcie rozciągnąć sześciu gladiatorów na arenie, i wstąpić w szeregi pretorian swego prześladowcy — Czazara (bardzo dobra rola Kreczmara). Czechowicz gra trochę tak jak Lew. Zewnętrznymi środkami, śmiechy nadymając umalowaną na rumiano gębę, potrząsa ramionami i wrzeszczy zamieniając swoją postać jowialnego grubasa w siłacza, który w końcu okazuje się prawdziwie groźny. Groźniejszy niż zakuci w zbroje gladiatorzy i cesarscy gwardziści. Uosobienie ludzkiej siły, głupoty i fanatyzmu. Zastanawiające memento zabawnego przedstawienia i tej zdawałoby się skomentowanej od początku do końca sztuki.

Teatr Współczesny w Warszawie. G.B. Shaw: *Androkles i Lew*. Przekład F. Sobieniowskiego. Reżyseria: Erwin Axer. Scenografia: Ewa Starowieyska. Muzyka: Zbigniew Turski. Opracowanie pantomimy: Witold Gruca. Premiera w styczniu 1964.



Fot. Edward HARTWIG

„...Shaw zostaje pożarty przez bestię, którą sam wypuścił na scenę...“

ANDROKLES I LEW jest jedną z najdziwniejszych sztuk Shawa. Jest też zarazem jak najbardziej wśród nich typowa. Stanowi skrajny przykład shawowskiej manieri literackiej, ilustracją jego bezkompromisowej apodyktyczności. Postawy radykalnego irlandzkiego kaznodziei, a jednocześnie złośliwca. Wiecznie młodego i zaangażowanego — do ostatnich dni stuletniego życia — ideologa, a jednocześnie, od pierwszych niemal sztuk, skostniałego w swoich poglądach na teatr staruszka, usiłującego narzucić bezwzględnie swoją wolę wszelkim inscenizatorom.

Wszystkie niemal dramaty Shawa zawierają niezliczone przedmowy i komentarze. Ich tekst obstawiony jest ogromnymi didaskaliami, wyjaśnieniami odautorskimi, w których zawarte są szczegółowe przepisy gry i interpretacji poszczególnych scen. W *Androklesie i lwie* cechy te zostały rozdęte do rozmiarów jakiejś niesamowitej elephantiasis. Pisząc w roku 1913 swój dramat oparty na prześladowaniach pierwszych chrześcijan potraktował go Shaw przede wszystkim jako esplikację kilkunastu tez społeczno-moralnych. W miarę upływu lat, tak się w jego treści rozsmakowywał, że dodawał coraz to nowe przedmowy i wyjaśnienia, aż na koniec w wydaniach obecnych przekraczają one kilkakrotnie właściwy tekst sztuki. Powiedział o swoim dramacie właściwie wszystko, co można o nim powiedzieć. Odebrał chleb krytykom. Ale zarazem wypłatał największego figla sobie samemu. Bo przecież w teatrze z didaskaliów i komentarzy nie zostaje właściwie nic. Trochę materiału do prób analitycznych, jakaś ogólna sugestia dla reżysera, wyjaśniający niektóre problemy utworu artykuł w programie. I to wszystko. Ze sceny aktorzy mówią czysty tekst, który musi obronić się sam. Są ubrani inaczej niż tego życzył sobie autor, inaczej się poruszają, inaczej rozgrywają sytuacje. I oto Shaw właśnie wbrew swoim przepisom i komentarzom, grany jest wciąż na całym świecie. I wciąż, jak tego chciał, zaskakuje, bawi i szokuje dzisiejszą widownię, mimo że z jego kazań do uszu wpadają już tylko niektóre fragmenty, a w akcji jego sztuk najbardziej bawi nas to, co on sam uważał za sprawy najmniej istotne.

W jednej z przedmów do *Androklesa i lwa*, zacytowanej w programie przedstawienia w Teatrze Współczesnym Shaw pisał: „Przedstawiłem w tej sztuce jedno z prześladowań pierwszych chrześcijan przez Rzymian. Nie jako konflikt teorii prawdziwej z fałszy-

teatr

SHAW I LEW

JAN KŁOSSOWICZ

wą, lecz jako to, czym są w istocie wszelkie prześladowania tego rodzaju. Mianowicie jako próbę zdławienia propagandy zagrażającej zdawałoby się interesom tych, którym służy prawo i porządek ustanowione w imię religii i sprawiedliwości przez polityków-oportunistów, którzy bronią własnych pozycji. Ci zaś boją się i nienawidzą ludzi, którym światło wewnętrzne ukazuje lepszy świat, oparty na duchowej potrzebie stworzenia bogatszego i szlachetniejszego życia — nie dla nich samych i kosztem innych, ale dla wszystkich“.

Shaw na szczęście nie przeprowadził dosłownie dowodu tej tezy, a wykpił w swojej sztuce po trosze nie tylko Rzymian, ale i chrześcijan. Dlatego też nie stworzył opisu rzezi niewiniątek, a w istocie dość przewrotny i stąd zapewne tak dla niego samego prowokujący do komentowania dramatu, w którym prześladowani predestynowani są niepomalu do zamiany ról z prześladowcami. I w którym jest tylko jeden szlachetny — przyjaciel zwierząt i przez to przypadkowy zbawca chrześcijan — prostaczek Androkles, i w którym jest też, za co Shawowi dzisiaj największa pochwała — Lew.

Lew ma pyzatą mordę i żółte cielsko, w którym siedzi dwóch chłopaków. Otwiera paszczkę pokazując różowy ozór i rzyce. Podskakuje i uderza się ogonem po bokach. Od razu dostaje brawa. Dobry, poczciwy lew trochę z chiń-

skiego cyrku i trochę z Kiplinga, trochę z każdej dziecinnej bajki. Lew, któremu Androkles wyciąga w pierwszej scenie cież z łapy, po to, żeby się z nim później spotkać na arenie Colosseum i odtńczyć przed zdumionymi Rzymianami twista, którego zresztą na pewno nie było w shawowskich didaskaliach. Na zakończenie przedstawienia on także dostaje najwięcej braw. Nic w tym dziwnego. Niektórzy wielcy gwiazdorzcy Hollywoodu, kiedy dowiadują się, że w proponowanym im scenariuszu jest dajmy na to pies, odmawiają roli. I mają chyba rację. Zwierzak jest zawsze najlepszy. Zaprojektowany świetnie przez Starowieyską i roztańczony przez Grucę Lew nie zjada Androklesa, ale zjada wszystkich dookoła. Shaw zostaje pożarty przez wypuszczoną przez siebie na scenę bestię. Nieglupie i czasem prawdziwie niepostarzale kwestie i dialogi sztuki uciekają mimo uszu. Na scenie zostaje tylko lwisko, które w dodatku na cyrkową arenę wiozą w drewnianej klatce ciągniętej przez jeszcze bardziej śmieszne i jeszcze ładniej może narysowane woły, których pyski bardziej pozostają w pamięci niż błyskotliwe sformułowania i aktorskie gesty. Jest w tym wszystkim coś z atmosfery Byczka Fernando i Kubusia Puchatka. Atmosfery trochę denerwującej, od czasu, kiedy te śliczne książki dla dzieci stały się przedmiotem snobizmu starych pierników. Ale na szczęście nie za dużo. Bo jest w tym przedstawieniu autentycznie dobra pantomima i precyzyjna, jubilerska już prawie, jak zwykle u Axera, reżyseria.

A największe brawa należą się aktorom. Niezwykle wyrównanym w zespole, grającym nie tylko z tak trudnym, hasającym po scenie i ryczącym partnerem, ale grającym właściwie wyłącznie papierowe role. Bo Androkles jest w gruncie rzeczy postacią bardzo jednoznaczną i gest i postawa zahukanego biedaczyny przejawia się ciekawiej w postawie i mimice Fijewskiego niż w kwestiach przez niego wypowiedzianych. Lipińska (Lavinia), Zapasiewicz (Kapitan) czy Borowski (Setnik) ożywiać muszą tu kukielki, które służą za ilustrację shawowskich rozważań moralnych. Jedyne Dziewoński (Spintho) ma do odegrania nieco żywszą postać chrześcijanina — łobuza i złodziejzka. I wreszcie — Ferrovius — Czechowicz. Największa rola w sztuce. Jedyne prawdziwy partner Lwa. Lew w skórze baranka. Chrześcijański atleta, który nawraca przy pomocy pięści i z trudem zmusza się do pokory, aby wreszcie rozciągnąć sześciu gladiatorów na arenie, i wstąpić w szeregi pretorian swego prześladowcy — Cezara (bardzo dobra rola Kreczmar). Czechowicz gra trochę tak jak Lew. Zewnętrznymi środkami, śmiechy nadymając umalowaną na rumiano gębę, potrząsa ramionami i wrzeszczy zamieniając swoją postać jowialnego grubasa w silacza, który w końcu okazuje się prawdziwie groźny. Groźniejszy niż zakuci w zbroje gladiatorzy i cesarscy gwardziści. Uosobienie ludzkiej siły, głupoty i fanatyzmu. Zastanawiające memento zabawnego przedstawienia i tej zdawałoby się skomentowanej od początku do końca sztuki.

Teatr Współczesny w Warszawie. G.B. Shaw: *Androkles i lew*. Przekład F. Sołtysiewskiego. Reżyseria: Erwin Axer. Scenografia: Ewa Starowieyska. Muzyka: Zbigniew Turcki. Opracowanie pantomimy: Witold Gruca. Premiera w styczniu 1964.